

Przejęcia

Trwał remont nawierzchni.

Psychiatrka poruszała ustami, jednak nic z tego, co mówiła, nie przebijalo się przez dźwięki młotów pneumatycznych dochodzące z ulicy. Nina nie przerywała jej, nie miała odwagi, musiałaby przyznać, że od początku nie usłyszała ani słowa. W końcu lekarka wstała, energicznym ruchem zamknęła okno i powtórzyła głośniej.

– Te deformacje postrzegania, jak często się pojawiają?

– Czasami. Ale zwykle potrafię nad nimi zapanować – Nina odruchowo machnęła ręką, że niby nie ma o czym mówić, jednak od razu pomyślała: Absolem.

Siedziała na niewygodnym, plastikowym krzeselku w urzędzie dzielnicy, czekając, aż wyświetli się jej numerek, kiedy usłyszała harmider:

– Chuje pierdolone w dupę kopane! – W szklanym, obrotowym wejściu zaklinował się stary facet na wózku inwalidzkim. Ogorzała i napuchnięta od alkoholu skóra opinała jego ciało jak sparciały balon, który ktoś powtórnie nadmuchiwał. Osobnik nie miał jednego buta. Jego naga stopa o czarnych paznokciach była rozdęta i sina. Na pięcie widać było broczącą ranę. Kiedy uwolnił się z niechcianych objęć drzwi, wjechał i stanął na środku korytarza. Rozglądał się spode łba, wodząc czarnymi, błyszczącymi ślepiami po podłodze i nogach czekających w kolejce osób, jakby zamierzał wyjąć zza pazuchy butelkę z benzyną, rozlać wokół jej zawartość i podpalić.

Pracownik urzędu asystujący w obsłudze automatu wydającego numerki ruszył stawić czoła zagrożeniu.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – Zgiął się wpół, pochylając się nad problemem w imieniu miasta stołecznego.

Stary wybełkotał coś, czego nie dało się zrozumieć. Przechylił głowę na bok i spojrzał w kierunku Niny. Choć nie patrzył prosto na nią, czuła, że chce jej coś powiedzieć. Wypuścił parę i na moment zastygł w bezruchu, osadzając twarz głębiej w nabrzmiałej szyi. To wtedy pomyślała, że jest podobny do Absolema.

– Musi pan wziąć numerki! – zawyrokował pracownik.

Absolem zacharczał z głębi płuc i splunął siarczyście, celując po łuku do automatu z numerkami. Odwrócił się na broczącą pięcie i skierował wprost w stronę okienek.

Pracownik pobladł na krótką chwilę z oburzenia i zgrozy.

– Nie... nie ma pan opiekuna?! – Piskliwa nuta w jego głosie zdradzała desperację.

– Chuja mam!!! – Wózek nie zatrzymywał się. – Kuuurywierdolone chuje banepiz-dyniemyte – mamrotał starzec, odpychając się rozkwaszoną piętą. Posuwał się środkiem

korytarza, pozostawiając na wyłożonej płytkami podłodze trop z zabarwionego krwią płynu sączącego się z rany. – Kurwypierdolonejebanepizdychujeztamane – Wyznaczał swój ślad jak ślimak.

– Ale... ale... to opatrunek trzeba było zrobić. – Pracownik szedł za wózkiem, rzucając na ziemię chusteczki higieniczne i ścierając plamy butem. Niepowściągnięta w porę odraza stężała na jego obliczu jak liszaj. – Albo – dorzucił wyraźnie zmotywowany brakiem odpowiedzi – nogę trzeba odjąć.

– Tobie chuja odjąć!!! – zagrzmiał gardłowo Absolem. Fala uderzeniowa jego barytonu zatrzęsała gmachem w posadach.

– Ale dlaczego pan się tak wyraża? Trochę kultury. Jest pan w urzędzie. – Pracownik wycofał się na bezpieczną pozycję. – Jeśli nie potrafi się pan zachować, ochrona pana wprowadzi.

Absolem zastygł, jakby nad czymś się zastanawiał, po czym od niechcenia splunął w stronę pracownika, niemal w niego trafiając.

Chwilę później jego wózek minął Ninę, mknąc korytarzem w stronę wyjścia, popychany energicznie przez ochroniarza.

– Kurwyjebanepizdychujepierdolone – burczenie Absolema, wyraźnie zadowolonego z przejażdżki, niosło się za ich orszakiem.

Nina siedziała jeszcze przez moment. Po chwili jednak zerwała się z plastikowego krzeselka i wydostawszy się na zewnątrz, w ostatnim momencie zauważyła, jak za wózkiem Absolema zamykają się automatyczne drzwi windy do metra. Pobiegła do ruchomych schodów. Peron był prawie pusty. Przeszła go wzdłuż, w obie strony, ale po Absolemie nie było śladu. Wbiegła na poziom wyżej, do przejścia. Też nic. Zajrzała do toalet. Jak to możliwe? Przecież zjechał pod ziemię. Żaden pociąg nie zdążył odjechać. Usłyszałaby. Zeszła z powrotem na stację. Spytała kilku osób, czy nie widziały starszego mężczyzny na wózku. Raczej trudno byłoby go przeoczyć. Ludzie zgrywali uprzejmość, ale taksowali ją wzrokiem, jakby przez zagapienie w telefon zapodziała dziadka kombatanta.

Absolema nie było.

– Przepiszę pani Coś Nowego. – Psychiatrka pochyliła się poufale w stronę Niny i konspiracyjnie ściszyła głos. Nina zapragnęła nagle powiedzieć jej wszystko o dzisiejszym spotkaniu z Absolem. Jednak kiedy tylko otworzyła usta, lekarka zreflektowała się, a mowa jej ciała wróciła do ustawień fabrycznych.

– Opakowanie wystarczy na trzy miesiące. – Usta ułożyła w dziubek, a nogi skrzyła w ciasny spłot á la Elżbieta Jaworowicz. – Za chwilę powinna pani otrzymać wiadomość z kodem do recepty.

Wychodząc, Nina zastanawiała się, czy to możliwe, że psychiatrka przeszła właśnie na drugą stronę. Może jednak to nie z nią, Niną N., było tu coś nie tak. Może to sam świat się rozwarstwiał, od niego odczepiała się tapicerka. Może to jego powierzchnię

należało przybić spinaczami albo wiązką lasera, jak siatkówkę. Może wszyscy nieświadomie żyli w jakimś odklejonym, dawno złuszczoneym powidoku.

Wracata jak zawsze, komunikacją. Choć nigdzie nie musiała już zdążyć, dawała się ponieść nurtowi powszechnego pośpiechu. Ten pęd był siłą napędową miasta, energią krążącą w jego obwodach. Wartki strumień ludzkich ciał tęczył ze sobą strony ulic, przystanki, płynął podziemnymi korytarzami pomiędzy peronami metra. Nina czuła, że jego źródło bije właśnie gdzieś pod spodem.

Czasami powierzchowność rzeczywistości była dla Niny nie do zniesienia. W gorszych momentach czuła, że traci grunt pod nogami. Zupełnie brak jej przyczepności. Wciąż ślizga się po powierzchni. Dlatego poszukiwała wejścia.

Na Patelni było pełno, jak zwykle. Tłum przemieszczał się we wszystkie strony. Ludzie czekali na siebie i witali się pod ścianą z komercyjnym murem. Organizacja pro-life zbierała podpisy przy rozkładanym stoliku pod transparentem z Matką Boską i martwym płodem. Ktoś agitował przez megafon. Przeszkłone tuby wejść do metra i znajdujący się pomiędzy nimi pasaż handlowy przypominały o dawnym wyglądzie centrum, z podłużnymi blaszakami hal targowych.

Patelnia znajdowała się poniżej poziomu ulic, schodziło się na nią tylko po płaskich schodach. Była nietypowym zagłębieniem, strukturą wgłębną, niecką w miejskiej powierzchni, z której gładko można było wejść pod główne warszawskie rondo, wślizgnąć się do przejścia podziemnego. Niepostrzeżenie wnikało się pod grubą skórę miasta, wchodziło do nozdrza, zostawało wchłoniętym do chrap wraz z falą zasysanego powietrza, razem z całym ludzkim i nie-ludzkim planktonem, wszystkimi pomniejszych organizmami, które dostały się niespodziewanie do układów większego i będą w nich krążyć, aż zostaną wydalone lub osiadną uczeplone jakieś ścianki.

Wnętrza Warszawy bezwstydnie wyzierały z przejścia jęzorem obrusów prezentowanych przez przekupki w naręcznym handlu, wionęły oscypkami z Podhala, wykwitwały wielokolorowo bukietami z wiader i wybrzmiewały fałszywą muzyką akordeonu. Wysunęły na zewnątrz zebrzące dłonie i podstępnie wciągały do środka.

Nina lubiła przejścia podziemne. Zwłaszcza te stare i syfiaste. Wiedziała, że to dziwne, ale w nich dopiero czuła, że żyje. Utwierdzały ją w przekonaniu, że prawda łączy się z dyskomfortem. W jakiś sposób też kołysały, wypełniały wewnętrzną pustkę. Były jak szczelnie zagospodarowane wyrwy w miejskim matriksie. Wchodząc do przejścia, miała wrażenie, że podnosi kamień, pod którym odkrywa kłębiące się życie. Ślepe, chaotyczne, odpychające. Doświadcza pierwotnej krzątaniny. Wchodzi wprost do szczeliny istnienia.

Wiele razy zaglądała do tych podziemnych kiosków, sklepików z podróbkami perfum i koszulami nocnymi. Dotykała sztucznej skóry torebek, kręcąc obwieszonymi nimi obręczami. Przyglądała się witrynom lombardów i pracy wietnamskich manikiurzystów. Śledziła kursy egzotycznych walut w mikroskopijnych kantorach. Zdarzały się też sex shopy i salony z automatami do gier. W przejściach było wszystko, czego Warszawa się wstydziła, wszystko, co wyparła z końcem lat dziewięćdziesiątych.

Przejście pod Rotundą było wyjątkowe. Było podziemną wersją ronda. Można nim było chodzić w kółko, nigdy nie wracając na powierzchnię.

Po dłuższej chwili dało się przywyknąć do stęchłego powietrza, w którym odór moczu i nawarstwionego ludzkiego brudu mieszał się z gastronomicznymi wyziewami z piecyków i wentylatorów, zapachem zapiekanych i wzmocnionym chemią aromatem cynamonowych kołaczy.

Podłoże przejścia nagle wyrzuszało się, szło się po niewielkich wzniesieniach. Zaraz pod piętrzem wyparcia znajdowała się tu zgrubiała warstwa traumy. Ziemia w Warszawie żyła własnym życiem i najwyraźniej nie dało się jej skutecznie wyrównać.

Sufit miejscami wisiał tak nisko, że zdawał się przyginać kark. Nina dźwigała na ramionach miasto, które mogło ją bez trudu zmiażdżyć, zdeptać. Ta klaustrofobiczność pasowała jej, była jak koc obciążeniowy, uspokajała.

Lubiła śródmiejskie przejścia może też dlatego, że zagubienie w przejściu pod Dworcem Centralnym było jej najdawniejszym wspomnieniem ze stolicy. Kiedy przyjechała tu wiele lat temu po raz pierwszy, musiała kluczyć dłuższą chwilę, zanim wydostała się z labiryntu. Kiedy wspominała przeprowadzkę, na plan pierwszy zawsze wysuwało się tamto przyjemne uczucie satysfakcji, że oto w końcu znalazła miejsce, w którym może skutecznie przepaść, zmylić wszelkie tropy, wsiąknąć. Że tu jej historia może się zakończyć.

Dziś z przejścia Nina wynurzyła się z nadwiedniętym bukietem astrów i chińskich goździków. Kwiaciarka, od której go kupiła, przypominała jej wiedźmę z anime. Była blada, zadziwiająco pomarszczona i jakaś taka szczurza. Siwe włosy miała uczesane w ścisły kok na czubku głowy. Długimi palcami zakrzywionymi na końcach przez artretyzm obwiązała łodygi. Użyła do tego strzępu starego gałganka i mrugnęła do Niny porozumiewawczo. Co to miało znaczyć? Kiedy Nina odeszła na bezpieczną odległość i odwróciła się, zobaczyła, jak starucha łapczywie pije cuchnącą wodę po kwiatkach prosto z plastikowego wiadra.

W dzieciństwie Nina często bawiła się w poszukiwanie znaków, tajemnych wskazówek. Uważała, że kosmos mówi do niej, wysyła zaszyfrowane wiadomości. Wystarczyło tylko być uważną i wytrwałą w rozwiązywaniu zagadek. W ten sposób poznawała myśli wszechświata, otrzymywała odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Zdarzało się, że świat odkrywał przed nią zdarzenia z przyszłości. Wtedy jeszcze wierzyła, że pod pozorami codzienności kryje się magia.

*

Leżąc w wannie, wypita kieliszek wina. Potem jeszcze drugi, którym popiła tabletkę. Po nowych lekach zwykle miała jakieś jazdy ze snami, co było dość przyjemne. Wstawiła sfatygowane kwiaty do wazonu i o dziewiętnastej była już w łóżku.

Śniło się jej lśniące centrum handlowe, Sklepy były otwarte, ale ich wnętrza puste, była tam zupełnie sama. Po jakimś czasie poczuła znużenie i zaczęła szukać

wyjścia. Budynek okazał się szklanym terrarium, w którym najwyraźniej została uwięziona. Nie poddawała się jednak. Naciskała wszystkie przyciski, szarpała za każdą klamkę. Wreszcie któreś z ciężkich drzwi ustąpiły.

Nieoznaczone wyjście ewakuacyjne prowadziło przez urządzony na podziemnym parkingu bazar. Idąc nim, Nina zaczęła się wybudzać. Przedzierała się na jawę przez zaśmiecone zaplecze świadomości. Czuć było fermentującymi owocami i podpusytym mięsem. Kluczyła pomiędzy straganami z plastikowym gospodarstwem domowym i karmą dla zwierząt. Mijała stoiska z używanymi rzeczami, wielkimi, trykotowymi biustonoszami i chemią z Niemiec. Wszystko tu było na wierzchu. Zarazem odrażające i swojskie.

Obudziła się przed świtem. I po raz pierwszy w życiu widziała wszystko wyraźnie. Nic się nie rozmywało. Czy to możliwe, że Coś Nowego już działało?

Czuła wewnętrzną spójność. Wstała z łóżka. Podniosła wazon z wodą, w której przez noc rozmiękały łodygi wczorajszego bukietu, teraz wiotkie i śluzowate, po czym wypila jego mętną, zawieszistą zawartość do ostatniej kropli. Narzuciła szlafrok i wyszła na zewnątrz.

Ulica biegła w górę, potem w dół, dalej znowu w górę i w dół. Falowała.

Nina wiedziała już, dokąd zmierza. Szła jeszcze chwilę przed siebie, po czym chwyciła warstwę asfaltu i wślizgnęła się pod jego fałdę jednym płynnym ruchem, jak pod kołdrę. Jakby wsuwała się pod miękką, elastyczny lukier na torcie.

Słońce wspięło się tuż nad horyzont. Jego pełznące promienie wygładziły powierzchnię ulicy.

Niny nie było.



Monika Bordzoł, *Dysonans*

Spotkanie

Kiedy pojawiaam się w jadącym metrze, ludzie odsuwają się, przechodzą do drugiego wagonu. Niektórzy starają się być dyskretni. Grupka młodzieży co jakiś czas wybucha śmiechem. Nie wiem, czy śmieją się ze mnie. Nie ma to już dla mnie znaczenia. Jestem wolne, a to jest cena wolności. Brud i śmierdzące ubranie mają swoje pole rażenia, które skutecznie odsuwa ode mnie wszystkich. Wytwarzam wokół siebie bufor pustki. Wir. Jestem jądrem ciemności.

Odwracają wzrok. Z obrzydzenia i pogardy, ale nie tylko. Budzę w nich niepokój.

Gdyby robili mój portret pamięciowy, byłoby czarnym bałgrotem, rozmazaną brunatną plamą. Górą łachmanów z kołtunem splątanych dredów albo grudą węgla.

Czasem siedzę sobie na stacji, jak dzisiaj. Nad torami wyświetlane są reklamowe hologramy targetowane do indywidualnego odbiorcy. Widzę zmieszaną minę mężczyzny, któremu prawdopodobnie wyświetliła się reklama platformy streamingowej porno albo oferta usług seksualnych. Facet rozgląda się nerwowo. Po chwili oddycha z ulgą. Przecież nikt nie widzi jego kontentu. A szkoda, chętnie zobaczyłoby coś ludzkiego, dla czystej rozrywki. Od pewnego czasu AI przestało mnie rejestrować. Czegoś takiego jego radar nie wykrywa.

Jeszcze jakiś czas temu wyświetlały mi się reklamy społeczne, zachęcające bym zgłosiło się do odpowiedniego ośrodka na darmowy program wspierający w procesie wychodzenia z kryzysu bezdomności. Język reklam był niewykluźający. Znajdował miejsce na moją wieloznaczność, w tym zapraszającym podkreślniku pomiędzy „aś” a „eś”. Podkreślnik chciał mnie objąć, wyciągał do mnie swoje otwarte ramiona. Jednak ja nigdzie się nie mieszczę. Jestem transwymiarowe, transludzkie. Przekraczam wasze pojęcie. Istnieję bez miejsca, bez czasu. Jestem przez pokolenia.

Dlatego wymykam się cyfrowym hycłom, co czyhają na taki błąd w systemie.

Nie ma już we mnie potrzeby przynależności. Nieważne, czy komunikat jest empatyczny, pełen litości, czy sformułowany wprost, żebym spierdalało z tej stacji, bo śmierdzą i psują wasz dzień, a podziemia nie da się wywietrzyć. Pamiętam jak przez mgłę te pogawędki w biurach, że nie lubicie jeździć komunikacją przez takie coś jak ja.

Nie potrzebuję wsparcia w procesie. Bo to ja jestem procesem. Jestem przemianą materii tego miasta. Przenikam życiodajną glebę, która przyjęła tysiące szkieletów przemielonych z gruzem. To ze mnie wznoszą wasze domy, wasze wylizane do czysta wieżowce.

Przyjeżdża kolejny pociąg i wypływa z siebie strumień ludzi. Nagle zauważam kogoś, kogo być może znam. Ciężko przebić się przez mgłę, do przeszłości, do życia jako człowiek. Jasna twarz, nawet świetlista, jakby połknęła słońce. Kobieta o dziwnej, wibrującej energii. W kolorowych ciuchach, jakimś szalu. Zbliżyła się do mnie. Jej oczy, coś mi mówi. Umalowała się w charakterystyczny sposób. Barwne kreski zdobią jej dolne powieki. Czuję, że jest związana z czymś, co wtedy uważałam za ważne. Już pamiętam. Znajoma,

która sztuką chciała uzdrawiać ludzi. Ja nie chciałam nikogo uzdrawiać. Chciałam tylko stwarzać. Teraz wiem, że po prostu zżerała mnie ambicja i pragnienie uznania.

Już w czasie, kiedy się poznałyśmy, zaczynałam czuć tę wewnętrzną siłę, która mnie wzywała. Wtedy jeszcze nieujawnioną. Dopiero później zrozumiałam, że życie jest śmiercią, a śmierć życiem, i porzuciłam pragnienie tworzenia.

Następnie zaniechałam czynności, które wydawały mi się bezcelowe. Przestałam się starać o codzienne sprawy. Rachunki, zakupy, kontakty międzyludzkie, czytanie. Odrzucałam kolejne ograniczenia. Higienę. Płeć. W końcu wszystko, co ludzkie, zaczęło być mi obce.

Na widok tej kobiety w metrze na moment poczułam się prawie jak wtedy, kiedy byłam podobna do niej. Czuję ludzki odruch przywitania się. W panice próbuję przypomnieć sobie mowę potrzebną do small talku. Czy mam jeszcze ten narząd? Czy mam jeszcze w sobie jakieś słowa? Już prawie udaje mi się wydobyć z siebie dźwięk. To skowyt. Chcę zawyć. Ogłosić alarm dla miasta Warszawy.

Znajoma mija mnie i płynie dalej z nurtem pasażerów. Najwyraźniej jej algorytm również wyczyścił mnie z pamięci.



Monika Bordzoł, *What are you looking at?*

Pelargonie

Patrzyła z góry na podwórko. Wyglądało, jakby ktoś przy jego projektowaniu bał się nożyczkami i ekierką. Siatka chodników dzieliła zieloną powierzchnię trawnika na kilkanaście trójkątnych wysepek różnej wielkości. Największa z nich mieściła plac zabaw, rośło tam też parę drzew. Najmniejsze, kuriozalnie małe wysepki mogły pomieścić jedynie pojedyncze gówienko miniaturowego, sarenkowatego pieska. Odcinki chodników prowadziły ludzi przechodzących pomiędzy blokami od punktów A, B i C do punktów E, F i G – i na odwrót, optymalną drogą. Uwzględniały wszystkie potencjalne skróty, które w razie braku alejki z pewnością i tak zostałyby wydeptane w trawniku. Krajobraz ukształtowany przez ludzki pośpiech. Ten wycinek mapy osiedla widziany z ósmego piętra zawsze kojarzył się jej z amerykańskimi filmami, w których Ziemia pokazana jest z perspektywy przybyszów z kosmosu. Najpierw jako błękitna kopuła. Później, gdy kosmiczna kamera robi najazd, zarysowuje się powierzchnia kontynentu, widać Amerykę Północną, potem wielkie miasto z dachami wieżowców, dalej następuje zbliżenie na konkretne skrzyżowanie i ostatecznie oczom widzów ukazuje się kratka studzienki ściekowej gdzieś na ulicy Nowego Jorku. Mery też znajdowała się teraz w takim losowo wybranym miejscu, w mieście X, na Ziemi. Miejsce zdecydowanie mniej prestiżowym niż Manhattan, dlatego mało prawdopodobne, żeby kosmici właśnie stąd mieli rozpocząć swoją inwazję. Może jedynie pies sąsiadki mógłby być bohaterem kolejnej części *Men in Black*. Piesek przypominałby mikroskopijnego Bambi, gdyby nie to, że patyczkowate nóżki wciąż trzęsły mu się z zimna, a błyszczące czarne ślepia były niepokojąco wylupiaсте, jakby za chwilę miały wypaść z czaszki. Piesek ujadął niemal nieprzerwanie. Chyba nie był wkurwiony tylko wtedy, kiedy spał albo jadł. Mery nie pałała do niego nadmierną sympatią, zwłaszcza po tym, jak zaatakował ją pod drzwiami jej własnego mieszkania i wbił swoje maleńkie zębiska w łydkę, kalecząc ją przez spodnie. Mimo wszystko czuła, że go rozumie. Może nawet trochę zazdrości. Ona też wiecznie marzyła i czuła nieustanny lęk kogoś śmiesznie małego w porównaniu ze światem, przez co miała w sobie wiele podskórnego wkurwu. Zazdrościła Bobikowi, że potrafi tę wściekłość uzewnętrzniać w sposób, którego nie dało się zignorować.

Dziś wróciła z uczelni, nie spotykając sąsiadki ani jej psa. Ujadanie Bobika słyszała tylko zza drzwi, kiedy wysiadła z windy. Była pewna, że sąsiadka znała jej rozkład zajęć na pamięć, obudzona w środku nocy potrafiła wyrecytować godziny jej powrotów do domu oraz wyliczyć poranne spóźnienia w tym semestrze. Była to jedna z tych osób, które wiedzą wszystko o wszystkich, nie ruszając się z mieszkania. Rozpościęrała nad Mery parasol swej śledzącej kontroli. Trudno było przemknąć niezauważoną, choćby ze śmieciami. Któregoś dnia zablokowały z Adą zsymp, bo upchnęły w koszu pudełko po pizzy. Wystarczyło, że kilka razy poruszały zaklinowaną klapą, żeby sąsiadka wyskoczyła z groźną, milczącą odsieczką, uzbrojona w szczotkę na długim kiju, którym zaraz udrożniła szyb. Bobik oczywiście rzucił im się do nóg jak wygłodzona pirania.

Dzisiaj Mery spotkała dozorcę. Ten zawsze gdzieś się kręcił. Najwyraźniej uważał, że wścibstwo należało do jego obowiązków, jeżeli miał sprawować nad całym blokiem należytą kontrolę. Przypominał jej trochę Stanisława Anioła z peerelowskiego serialu *Alternatywy 4*. Był prostacki, obcesowy i jakiś taki śliski w tym swoim poczuciu władzy. Mery unikała dozorcę, jak mogła, trochę się bała jego nachalności, tego, jak nie respektował granic jej przestrzeni osobistej. Poza tym obawiała się, że gdyby któregoś dnia wróciła w innych stroju i fryzurze, dozorca mógłby jej nie poznać, po chamsku zagrozić jej drogę z pytaniem „Do kogo?!”, nie uwierzyć, że do samej siebie i nie wpuścić jej nawet na klatkę. „Są ludzie i ludziska” – mawiała babcia Mery i zapewne powiedziałaaby tak i w tym przypadku. Powiedzonko było oczywiście niesprawiedliwe i krzywdzące. Mery wiedziała, że zarówno sąsiadka, jak i dozorca muszą skrywać w sobie delikatniejszych ludzi, ale upchali ich tak głęboko pod grubą warstwą skóry, że trudno było dostrzec gdzie.

Dzień był gorący, niemal letni. Mery zdjęła buty w maleńkim, ciemnym przedpokoju, weszła do kuchni, równie maleńkiej, ale zalanej słońcem wpadającym przez okno, wyjęła z lodówki sok i napiła się go prosto z kartonu. Stała przy oknie i zaczęła przypatrywać się kobiecie z parteru, którą chwilę wcześniej mijła na dole, idąc z przystanku. Kobieta z mozołem pielila ziemię przed swoim balkonem. Blok nie miał ogródków. Nie było żadnego bufora otoczonego żywopłotem, dzielącego budynek od reszty osiedla. Tej kobiecie jednak to nie przeszkadzało. Nie powstrzymywało jej przed przekopywaniem suchej ziemi niczyjej sąsiadującej z jej mieszkaniem i sadzeniem w niej kwiatów rodem z wiejskiego ogródka. Dzięki temu zyskiwała powierzchniovą przewagę w nieformalnym konkursie na najbardziej ukwiecony balkon. Mery obserwowała te zawody już kolejny sezon. Podziwiała kobiety biorące w nim udział. Imponowały jej. Były jak boginie obfitości, patronki plonów, Matki Ziemie z Grochowa. Podpatrywała je, jak w upalne dni krzętały się na swoich loggiach, z nieodłącznymi konewkami w dłoniach, ubrane w spódnice i białe bieliźniane biustonosze na szerokich ramiączkach. Ich kształty były pełne i noszone z dumą, biodra okrągłe, a piersi, które z pewnością stanowiły obciążenie dla kręgosłupa, dźwigane z majestatyczną godnością. Kiedy doglądały swoich pelargonii, były czystą afirmacją życia. Pelargonie na południowej ścianie bloku kwitły bujnie przez cały sezon, otaczając balustrady balkonów niczym przewieszane przez nie barwne puchowe kołdry. Intensywna czerwień i róż kwiatów przyciągały wzrok do wyblakłej fasady budynku niczym jaskrawa szminka.

Od obserwowania prac ogrodowych oderwał Mery sygnał domofonu. Podskoczyła od jego nagłego, świdrującego dźwięku i prawie wylała sok. Dzwonił domokrążca oferujący ostrzenie nożyczek i noży. Mery uprzejmie odmówiła, odłożyła słuchawkę domofonu i w tym momencie usłyszała muzykę. Pod oknami pojawiła się podwórkowa kapela. Panowie odziani w kaszkiety i kamizelki w kratkę z werwą odśpiewywali jeden ze starych warszawskich szlagierów, przygrywając sobie na akordeonie, gitarze, kontrabasie i banjo. Z pięter zaczęły spadać pojedyncze monety. Mery wyszła na balkon i wtedy zobaczyła dozorcę. Ten wypadł zza rogu budynku jak wystrzelony z procy, pospiesznie upychając

koszulę do spodni. Nieznoszącym sprzeciwu gestem oderwał zaskoczoną sąsiadkę z parteru od pielienia i zaczął obracać się z nią w rytm szalonego tanga.

Mery stała oniemiała, patrząc na to wszystko z góry. Ta nieoczekiwana erupcja miejskiego folkloru przepełniła ją pokrzepiającym poczuciem wspólnoty z ludzkością, korzeniami, kulturą. A zdarzało się jej to wyjątkowo rzadko. Podobne uczucie miała czasem w trakcie powrotu z zagranicznej podróży, kiedy niespodziewanie nachodziła ją ochota, żeby zatrzymać się w przydrożnej restauracji stylizowanej na wiejską chatę, serwującej „swojskie jadło”.

*

Siedziała przy biurku, przed włączonym komputerem i próbowała pisać pracę na zaliczenie. Drażniła ją mdląca woń spalin i krwi trawy, a hałas kosiarek nie pozwalał się skupić. Czas koszenia osiedlowych trawników zawsze zbiegał się z sesją. Próbowwała pracować, jednak zarówno świat, jak i jej własne ciało miały co do niej inne plany. Świat próbował ją wyprowadzić z równowagi, sprowokować. Ciało było jak dziecko, jednocześnie sfrustrowane brakiem ruchu i zmęczone. Domagało się jej uwagi. Chciało, by je pohuścić. Potańczyć nim, stanąć na głowie albo chociaż w psie z głową w dół. Cokolwiek. Chciałoby położyć się w jasnej plamie słońca na łóżku przykrytym kremową, szydełkową narzutą, poprzeciągać się, jakby było kotem, i zasnąć tak twardo, żeby obudzić się po paru godzinach ze stróżką śliny w kąciку rozchylonych ust. Tak. Było śpiące w środku dnia i chciało, by się nim zaopiekowała. Dlatego wierciło się na krześle. Bolały ją gałki oczne, całe oczodoły. Jakby miała w nich niezliczoną liczbę paprochów i mokry piasek. Czaszka ciążyła jej. Była jak pacynka z wielką głową i ciałem z bezwładnej szmatki, którą musi ożywiać, chociaż wcale nie ma na to ochoty. Czuła nieprzyjemne mrowienie w kończynach. Stopy i prawa dłoń marzły jej i drętwiały mimo rozcierania. Doświadczała nieznośnego połączenia ociążałości z poczuciem utraty materii. Podobno wszystko jest energią, nawet ciało. W takim razie jej ciało powoli się dematerializowało. Jakby miała zniknąć, rozproszyć się w powietrzu. Była jednocześnie z waty i z ołowiu. To było nie do zniesienia. Mimo to trwała na krześle przy biurku, ponieważ nie potrafiła inaczej.

Za ścianą Ada siedziała w wannie. W przeciwieństwie do niej potrafiła uciąć sobie drzemkę albo wziąć kąpiel w środku dnia. Najgorsze było to, że puszczała wodę i lała ją do wanny przez cały czas trwania kąpieli. To ją relaksowało. Dla Mery szum był nieznośny. W lepsze dni go tolerowała. Dzisiaj trafił ją szlag. No i przede wszystkim Ada marnowała wodę.

Mery wstała od komputera, weszła do kuchni, nalała sobie soku do szklanki i zjadła ze stoika łyżkę nutelli, którą kupiła Ada. Może uratują ją biały cukier, nieetyczny olej palmowy oraz śladowe ilości orzechów laskowych i kakao.

– Żle się czujesz? – Ada wyszła z łazienki ubrana tylko w parę.

– Nie... luz. – Jak opisać to, co się z nią dzieje, co czuje, tak w dwóch słowach? Egzystencjalny dyskomfort?

Nie wiedziała, jak w końcu trafiła na kanapę i usnęła. Obudziła się nagle, przestraszona dziwnym przeczuciem. Czuła ucisk w piersiach, ale przecież nic się nie działo.

Pewnie tylko leżała w złej pozycji. Ady już nie było. Poszła do pracy na wieczorną zmianę. Warkot kosiarek ucichł. Powoli zaczynało się ściemniać. Mery poczłapała do kuchni zrobić sobie herbatę. Zalewając torebkę, powąchała wrzątek. Lubiła jego neutralny zapach. Gorące, wilgotne powietrze otuliło jej twarz. Wzięta kubek i wróciła do biurka. Była jeszcze trochę zaspana, ale skupiła się na pracy. Nagle kątem oka zarejestrowała ledwo zauważalny ruch za oknem. Jakby coś dużego spadło z wyższego piętra i mignęło za jej balkonem. „Wydawało mi się” – zdążyła pomyśleć i wtedy usłyszała stłumiony huk. Tąpnięcie. Jak głuchy pogłos petardy odpalonej w pewnej odległości, wyciszony przez barierę budynków. Dźwięk był jednocześnie odległy i bliski. Intuicyjnie wiedziała już, co się stało, ale usilnie blokowała tę myśl z tyłu głowy. Kiedy odsłaniała zasłonę i otwierała drzwi balkonowe, usłyszała szmery, poruszenie na innych balkonach. Podeszła do balustrady i spojrzała prosto w dół. Leżał nieruchomo, osiem pięter niżej, na wyschniętej, podwórkowej ziemi, upstrzonej petami i płatkami pelargonii. Wyglądał zwyczajnie, jakby spał. Jakby przyszedł tam, położył się na plecach i usnął. Nie było widać żadnych obrażeń. Chwyciła telefon i wykręciła 112. Już wiedzieli, oczywiście. Wiedzieli więcej od niej. Tak, tak, skoczył, z jedenastego piętra. Karetka w drodze. Znużony głos operatorki nie pozostawiał złudzeń. Takie rzeczy nie robią już na niej wrażenia. Szczególnie jak dzwoni cały blok i blokuje linię. Jacyś ludzie pojawili się na dole, próbując reanimacji. Sąsiedzi tłumnie zapelnili loggie, wiercili się i rozmawiali coraz mniej ściszonymi głosami, jak widownia w łóżach teatru podczas przerwy w spektaklu. Po dziesięciu minutach przyjechało pogotowie i policja. Ratownicy stwierdzili zgon i odjechali. Policjanci umieścili ciało w czarnym worku na suwak, ogrodzili miejsce taśmą i też się oddalili. Nieliczni gapie znużili się i odeszli. Sąsiedzi z balkonów powracali do środka. Widocznie nie było już o czym rozmawiać. Mery czekała. I tak nie dałaby rady na niczym się skupić. Kiedy przyjechał po niego karawan, było już zupełnie ciemno. Mery weszła do mieszkania i usiadła przy biurku z uczuciem pustki. Śmierć zawsze przytrafia się komuś. Nie tylko zmarłemu. Ta przytrafiła się także jej. Znalazła się w obsadzie jako jedna ze statystek. Przyszło jej do głowy, że oto dostąpiła właśnie kolejnego stopnia wtajemniczenia. Zeszła w kolejny krąg piekieł, jakie serwuje nam zwykłe życie. Pierwszym był ekshibicjonista, którego zobaczyła w dzieciństwie, gdy wychodził z krzaków w parku, trzymając w zaciśniętej ręce swoje genitalia. Kolejnym był skrywający się w tłumie, milczący obmacywacz, który nękał ją w autobusie, kiedy miała lat kilkanaście. Nie miała odwagi, żeby coś powiedzieć, zacząć krzyczeć, zrobić zamieszanie. Zaskoczenie odebrało jej refleks, wstyd zablokował odruchy obronne. W takich momentach wołałaby być jak sąsiadka, potrafić zwyzywać napastnika od zбочeńców i poszczuć żarłocznym psem. A teraz ten samobójca. Czy zawsze już będzie pamiętać, jak przemknął, spadając w zupełnej ciszy, jak kamień, a potem łupnął w tę twardą skorupę pod blokiem? Ziemia nie rozstąpiła się i nie zamknęła za nim. Nie zapadł się miękko w jej zapraszającą głębię, a mogłoby wydarzyć się chociaż tyle. Wpatrywała się w telefon, szukając w komunikatorze odpowiednich słów. Wysłała w końcu wiadomość na grupce, do Ady i kilku bliskich znajomych. Chyba nie wiedzieli, jak zareagować. Z pewnością brakuje na to emotek.